



# Austriackie kozice

Witold Daniłowicz

Polowanie na kozice w Alpach od dawna było jednym z moich marzeń i zajmowało porządne miejsce na liście polowań, na które chciałbym się wybrać. Mimo to lata mijały, a ja w Alpy jeździłem tylko na narty. Jak to jednak często w życiu bywa, okazja trafiła się dość nieoczekiwanie i przysłała z najmniej spodziewanej strony...

Wtedy byłem jeszcze partnerem w międzynarodowej kancelarii prawnej, w której założyłem towarzyski klub myśliwski. Należało do niego ok. 20 osób – partnerów firmy z całego świata. Każdy zjazd wykorzystywaliśmy do zorganizowania łowów oraz do poszukiwania nowych członków. Na jednym z takich spotkań ktoś powiedział mi, że młody partner z Włoch, który niedawno dołączył do firmy, to zapalony myśliwy. Od razu więc poszedłem z nim na drinka, aby pomówić o naszym klubie. W ten sposób poznałem Feriga. Szybko okazał się on nie tylko myśliwym, lecz wręcz pasjonatem łowiectwa. W trakcie rozmowy wspominał, że

polował na kozice. Odparłem, że marzę o takich łowach, ale jakoś nie mogę się wybrać. Wtedy padło niespodziewane zaproszenie: – To przyjeżdż do mnie w sierpniu! Bez problemu strzelisz kozicę.

## burzliwe dzieje

W dalszej dyskusji wyjaśniło się, co znaczy „do mnie”. Okazało się, że rodzina Feriga ma prywatny obwód łowiecki w Austrii, w którym kozice stanowią główną zwierzynę. Jak wiadomo, zaproszenia tego typu, zwłaszcza rzucane przez nowo poznanych, często błyskawicznie ulegają zapomnieniu i rzadko się materializują. W tym wypadku stało się jednak inaczej. Jakies trzy miesiące po naszej rozmowie Ferigo napisał do mnie, potwierdzając swoje zaproszenie. Uzgodniłszy termin i pod koniec sierpnia polecałem do Klagenfurtu, stolicy Karyntii. Kiedy tam jechałem, nie bardzo wiedziałem, czego się spodziewać. Choć byłem gotowy na wszystko, to po-

nadtysiącletni zamek w dolinie Drawy mnie zaskoczył. Zamek, a właściwie pałac, oczywiście wielokrotnie przebudowywano, ale wciąż stał w tym samym miejscu. Na skutek różnych kolei losu, w czasach gdy Wenecja należała do Austrii, trafił w drodze małżeństwa w ręce rodziny mojego gospodarza. Wraz z nim zaś – duży majątek ziemski w Alpach, niemal w całości pokryty lasem. Ponieważ w Austrii każda posiadłość ziemska o powierzchni przekraczającej 115 ha może uzyskać status obwodu łowieckiego własnego, tak się stało i w tym przypadku.

Majątek rodziny Feriga (tutaj zwanego, jak się okazało, grafem Ferigo) leży w dolinie Drawy, na skraju malowniczego pasma Alp – Karawanek, przy samej granicy ze Słowenią. Ten teren to miejsce historycznych zmagania żywiołu słowiańskiego i germańskiego. W VII w. n.e. należał do słowiańskiego księstwa Karantania, które w VIII w. podporząd-

Witold Daniłowicz

e-mail: witold.danilowicz@gmail.com



kowali sobie Bawarczycy. Pod koniec X w. Karyntia, jako Marchia Karyńska, była już częścią Świętego Cesarstwa Rzymskiego Narodu Niemieckiego, czyli – mówiąc inaczej – Pierwszej Rzeszy, a w XIII w. została jej osobnym księstwem. Te obszary zamieszkiwali zarówno Słowacy, jak i Niemcy. Po I wojnie światowej, po rozpadzie monarchii austro-węgierskiej, teren Karyntii (po słoweńsku *Koroszka*) stał się przedmiotem ostrego sporu Austrii z nowo powstałym Królestwem Serbów, Chorwatów i Słowaków, czyli późniejszą Jugosławią. W 1920 r. odbył się tutaj plebiscyt, w którego wyniku historyczną Karyntię podzielono między te dwa kraje. Skutkiem tego w Słowenii znalazła się duża mniejszość niemiecka, a w Austrii – słoweńska. Trudne stosunki Słowaków i Austriaków przed 1945 r. doskonale opisał Martin Polack w bardzo ciekawej książce „Śmierć w bunkrze. Opowieść o moim ojcu”. Pozwala ona m.in. zrozumieć, dlaczego ruch narodowosocjalistyczny zyskał taką popularność w Austrii, a zwłaszcza w jej południowej części.

Historia to rzecz interesująca, ale tym razem najbardziej zajmowała mnie zwierzyna. Okazało się, że poluje się tu przede wszystkim na kozice i jelenie. Strzela się też trochę saren i kilka głuszców. Dzika właściwie nie ma (ku zadowoleniu leśniczych). Brak też mufłonów, mimo że występują w sąsiednich obwodach. Parę lat temu wyasfaltowano lokalną drogę stanowiącą granicę obwodu i te zwierzęta potraktowały ów



Autor (z *Bergstockiem* w rękę) i Fergio

asfalt jako linię, której nie przekraczają. W obwodzie o powierzchni ok. 6 tys. ha pozyskuje się łącznie 500 sztuk zwierzyny grubej rocznie. Prawie wszystkie z podchodu – organizuje się tylko jedną zbiorówkę w sezonie.

### hajże na kozicę!

Rano pobudka o 3.30, szybka kawa z chałką (taką samą jak u nas) i o 4 ruszamy w góry. Pierwszego dnia polujemy tylko we dwójkę – Fergio i ja. On idzie sam, bo dobrze zna obwód, a ja dostaję podprowadzającego, który – jak się okazuje – pracuje jako leśniczy w majątku. Pierwszy odcinek pokonuje-

my samochodem. Wspinamy się dość wysoko, ale po 40 minutach jazdy trzeba zostawić auto, zarzucić plecak i dalej posuwać się pieszo. Wyposażenie uzupełnia, oczywiście, sztucer i długi na niecałe dwa metry *Bergstock* – gruby, solidny i, co najważniejsze, okuty kij górski z leszczyny. Początkowo idziemy drogą, jednak po chwili udajemy się na małą ścieżkę i wtedy zaczyna się prawdziwe chodzenie po górach. Najpierw brakuje tchu, potem czuć ból w udach, a w końcu człowiek się zastanawia, po co mu ta kozica i co to był za pomysł, żeby tu przyjeżdżać. Ale wreszcie męka (oczywiście tylko dla kogoś takiego ▶



Arch. Witolda Daniłowicza (4)

Herb Karyntii



Tradycyjna górська chata myśliwska



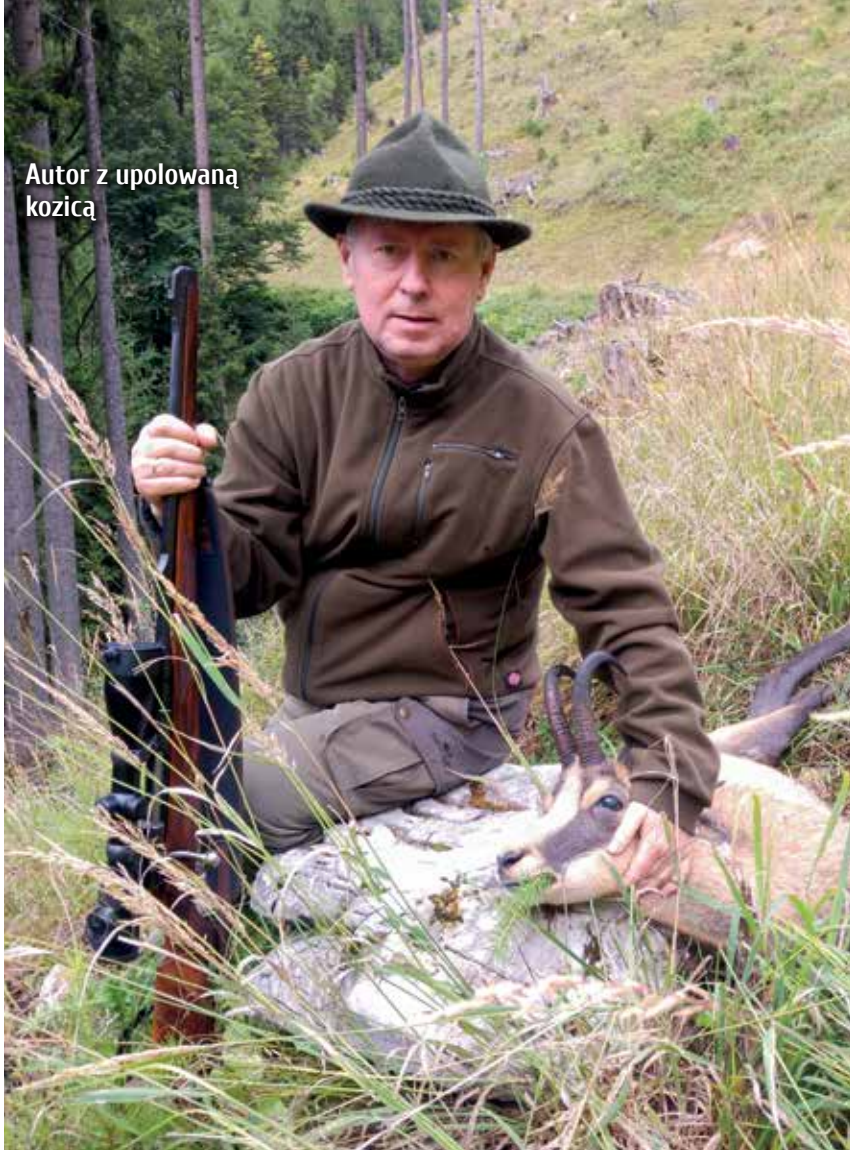
jak ja, bez praktyki w zdobywaniu szczytów) się kończy i docieramy do urzędzenia łowieckiego – w zależności od ukształtowania terenu jest to albo klasyczna ambona, albo coś w rodzaju ambony, tyle że stojącej na ziemi. Wsuwamy się tam i oczekujemy na wschód słońca.

Wita nas przepięknym widokiem na dolinę, z której przyjechaliśmy. Cudowne kolory. Lecz nasza uwaga skupia się przede wszystkim na zbocz przed nami. Wraz z dniem budzą się także kozice. Chodzi o to, aby wypatrzeć dobrą sztukę – najlepiej starego capa – w odległości pozwalającej na skuteczny strzał. Pozyskuje się tak capy, jak kozy oraz kozłaki. Trofealne haki mają i capy, i kozy, tyle że u samic są one nieco mniejsze i o trochę innym kształcie. Mimo to rozpoznanie płci i wieku nie należy do prostych rzeczy, szczególnie na dużą odległość i dla nowicjusza.

W pewnym momencie leśniczy trąca mnie i pokazuje na stok przed nami. Rozumiem, że zauważył kozicę, więc zaczynam intensywnie wpatrywać się przed siebie. Dostrzegam ją dopiero po dłuższej chwili. Cały czas leżała na wprost nas – jakieś 150 m. Jednak dopóki nie zaczęła się poruszać, w panującej szarówce w ogóle nie odróżniała się od otoczenia. Oglądam ją przez lunetę w sztucerze i niecierpliwie czekam na sygnał podprowadzającego zezwalający na strzał. Niestety, okazuje się, że to młody cap, więc nic z tego.

Ponieważ na naszym stoku nie było już innej zwierzyny, a w międzyczasie zrobiło się zupełnie jasno, postanawiamy ruszyć dalej w jej poszukiwaniu. Idziemy wąskimi ścieżkami podchodowymi przez las świerkowo-modrzewiowy, ciągle pod górę. Na szczęście niezbyt stromo. Kozic, niestety, ani śladu. Przystajemy, by złapać dech, i wtedy zauważamy dwie sztuki jakieś 300 m za nami. Też nas widzą i ciekawie się nam przyglądają. Gdy zastanawiamy się, co robić, raptem ruszają, o dziwo, w dół, w naszym kierunku. Jak narciarze biegają zakosami, co pewien czas się zatrzymują, patrzą na nas i pędzą dalej. Po chwili znajdują się już na naszej wysokości, jakieś 200 m przed nami. Ponieważ ciągle są w ruchu, o strzale nie ma mowy. Oglądamy je przez lornetki. Stare capy. Ten, który idzie jako drugi, mocniejszy! Żeby tylko stanęły! One tymczasem gnają już pod

Autor z upolowaną kozicą



nami. Nagle nieruchomieją i spozierają na nas. To może być moja szansa. Dalmierz w lornetce pokazuje 170 m. Pytam podprowadzającego o pozwolenie na strzał. Wzrusza ramionami i mówi: – OK, strzel tego drugiego. Kozice ciągle stoją. Łapię tę z tyłu w lunetę i szybko strzelam na komorę. Wydaje mi się, że widzę, jak pada w ogień. Patrę na podprowadzającego, który jest najwyraźniej zdumiony rozwojem wydarzeń. Ale nie ma czasu na dyskusje. Trzeba znaleźć mojego capa!

### górskie akrobacje

Idziemy w dół, w miejsce, gdzie – jak przypuszczamy – powinien się znajdować mój zwierz. Niestety, nigdzie go nie ma. Brak też farby. Nawet pies nic nie wyczuwa. Zaczynam się niepokoić. Może tylko mi się wydawało, że padł w ogień? Ale leśniczy również uważa, że cap leży. Więc szukamy dalej. W pewnym momencie przychodzi mi na myśl pomysł, by użyć dalmierza i zmierzyć odległość od miejsca poszukiwań do charakterystycznego pnia, spod którego strzelałem. Wynik – 150 m! Zatem jeste-

śmy o 20 m za wysoko. W górach to robi różnicę. Schodzimy, przesuujemy się bliżej środka stoku i od razu znajdujemy mojego samca. Dostał na komorę i padł w ogień! Ostatni kęs, złom oraz wielka radość z pierwszej w życiu kozicy. Niestety, trofeum okazało się nie tak dobre, jak oczekiwaliśmy. Leśniczy podejrzewa, że kiedy zwierzęta schodziły w dół, w chwili gdy pozostawały dla nas niewidoczne, zamieniły się miejscami. Ten mocny cap, który szedł z tyłu, znalazł się z przodu, a ja strzelałem do słabszego.

Krótką naradą, co dalej. Leśniczy zostaje z kozicą – ściągnie ją po stoku w dół, do najbliższej drogi, ja zaś idę po samochód i podjeżdżam do niego. Ponieważ jest jeszcze stosunkowo wczesnie, postanawiamy kontynuować polowanie. Ruszamy w górę. Niestety, św. Hubert uznał, że jak na początek wystarczy, i nie widzimy już żadnej zwierzyny. Ponieważ słońce stoi dość wysoko i zaczyna się robić ciepło, czas wracać. W dół maszerujemy na skręty. Dopiero teraz zrozumiałem, jak ważny jest okuty kij! Wbrew temu, co myślałem, wcale nie ma on ułatwiać myśliwemu wspinania się w górę



ani służyć mu za pastorał. Jego prawdziwa i najważniejsza funkcja ujawnia się przy schodzeniu w dół po śliskim, stromym zboczcu. Po drugiej wywrotce zakończonej 20-metrowym zjazdem w dół (ze sztucerem na plecach) zaczynam nąsładować leśniczego. Wbijam kij w stromy stok i opierając się na nim obiema rękami, powoli opuszczam się w dół, poruszając się na krawędziach butów. Zrozumiałem też, jak ważną rolę w polowaniu w górach odgrywają dobre, solidne buty – im wyższe, tym lepsze.

### trudniej podnieść, niż strzelić

Kolejne wyjście wieczorem. Tym razem idę z samym dyrektorem przedsiębiorstwa leśnego należącego do majątku – odpowiednikiem naszego nadleśniczego, tyle że w prywatnym lesie. Bardzo miły znawca lasu i świetny myśliwy. Szybko nawiązujemy dobry kontakt. Jadąc w góry, rozmawiamy o porannym wyjściu. Nadleśniczy dostał szczegółowe sprawozdanie od mojego podprowadzającego. Śmiejąc się, opowiada o jego zdumieniu z mojego celnego strzału. Jak się okazuje, większość gości, których zdarzyło się mu podprowadzać, miała duże problemy z celnością. Dlatego gdy ja poprosiłem o zgodę na strzał na 170 m, był przekonany, że spudłuję. Bał się tylko, abym nie ranił kozicy, bo poszukiwanie postrzałka w górach może przysporzyć sporo kłopotów. A tu taka niespodzianka!

Zmierzamy w inne miejsce, położone trochę wyżej. Po drodze widzimy w oddali drewniane chatki. To domki myśliwskie. Obecnie rzadko używane, ale dawniej niezwykle przydatne. W czasach gdy samochody terenowe nie były tak rozpowszechnione, a w górach nie istniało tyle dróg, myśliwi musieli zostawić pojazd w dolinie i dalej poruszać się na piechotę. Samo wejście w góry zabierało pół doby, tak więc na polowanie szło się na kilka dni. Po drodze spało się właśnie w takich domkach, wyposażonych w podstawowe sprzęty, a przede wszystkim w piecyk – kozę, która nie tylko grzała, lecz także służyła jako kuchnia.

Nasz wieczorny teren łowiecki to głęboki skalisty wąwóz, którego dołem płynnie strumień. Już u podnóża zauważamy kozice poruszające się na szczycie. Żeby dojść na strzał, musimy się wdrapać na taką samą wysokość, na jakiej je widzimy, ale po przeciwnej stro-

nie wąwozu. Zajmuje nam to jakieś pół godziny. Znajdujemy odpowiednie miejsce. Kozice są wyraźnie widoczne. Mój przewodnik każe mi się położyć na ziemi. Ze swojego ogromnego plecaka (bez niego żaden szanujący się austriacki myśliwy nie rusza na polowanie) wyciąga lodenowy płaszcz, który zwija w rulon i kładzie przede mną jako podpórki do sztucera. Mam więc dobre stanowisko strzeleckie. Dalmierz pokazuje 220 m. Nie powinno być problemu. Rzeczywiście, po strzale kozica przewraca się i po chwili zaczyna rulować w dół po stromej ścianie wąwozu. Jestem zadowolony ze strzału, ale trochę zaniepokojony o los trofeum. Jak się okazuje – niepotrzebnie. Otóż mój przewodnik wyjaśnił mi, że się nie zdarza, aby haki uległy uszkodzeniu, niezależnie od tego, jak dramatycznie wygląda spadanie strzelonej kozicy po zboczcu.

Teraz musimy zejść na dół, by podnieść zdobycz. Jej znalezienie nie sprawiło kłopotu. Trudne okazało się natomiast przetransportowanie jej do miejsca, do którego można dojechać samochodem. Po drodze musieliśmy bowiem pokonać skalną ścianę, co dawało się zrobić pod warunkiem, że trzymało się jej obiema rękami. Jak więc przejść ten kawałek z kozicą? Dopiero wtedy zrozumiałem, do czego służy ogromny plecak austriackich myśliwych. W jednej chwili bagaż mojego towarzysza został opróżniony, kozica – załadowana do środka, i ruszamy na skalną ścianę!

W drodze powrotnej jedziemy doliną Drawy. Po obu stronach rzeki szerokie łąki i pola. To właśnie tutaj w 1945 r. dotarły i obozowały oddziały kozackie walczące po stronie Niemców, które wycofywały się wraz nimi, żeby nie wpaść w ręce Rosjan. Wraz z taborami przeszły przez góry i poddały się Anglikom. W jednym z mniej znanych epizodów ostatniej wojny Anglicy wydali Kozaków Sowiecom. Dochodziło przy tym do dantejskich scen. Niektórzy woleli popełnić samobójstwo, niż się dostać w rosyjskie ręce. Tę historię świetnie opisał Józef Mackiewicz w przejmującej książce „Kontra”. Podobny los spotkał także kilka tysięcy chorwackich ustaszy i słoweńskich domobrańców, którzy schronili się w Karyntii przed oddziałami Tita. Anglicy wydali ich jugosłowiańskim komunistom. Ci wymordowali ich wszystkich w lasach na południe od Lublany. ●

Zapraszamy do odwiedzenia  
naszego stoiska  
na Targach Myślistwa  
i Strzelectwa Knieje  
17-19.02.2017 w Poznaniu!



Broń  
myśliwska  
i krótka



  
**Bettinsoli**  
Bocki śrutowe  
i kniejówki

*Sellier & Bellot*   
Amunicja



HUBERTUS s.j. K. Senger, J. Krzyżosiak  
[www.hubertus-chodziez.pl](http://www.hubertus-chodziez.pl)